

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Roman Fajans
Stefan P. Mierzwa
Józef Miłobędzki
Scrutator
Bolesław Zubrzycki

Vol. 2 Nr. 36 (88) Nowy Jork, 10 września — New York, 21. N. Y., September 10th, 1944 Cena 15 ct.

MACZEK I MONTGOMERY



General Stanisław Maczek, dowódca Polskiej Dywizji Zmotoryzowanej, która odznaczyła się świetnie w czasie operacji we Francji, i wielki Montgomery, mianowany właśnie za zasługi niezwykłego dowodzenia — marszałkiem armji brytyjskiej.

PARYŻ I WARSZAWA

Po parodniowej walce, Paryż jest wolny, niema Niemców w Paryżu i za parę dni może wolna będzie od nich cała Francja. Jak cztery lata temu upadek Paryża — stał się dla świata symbolem ostatecznej klęski zadanej wolności w Europie, tak dzisiaj obraz gen. de Gaulle'a, torującego sobie drogę wśród tłumy paryskiego, od Łuku Gwiazdy do Notre Dame, obraz wodzów amerykańskich, składających hołd francuskiemu żołnierzowi nieznanemu — nie tylko że uświadamiają nam radosną prawdę uwolnienia Paryża i Francji — ale symbolizują też powrót wolności do Europy i zmartwychwstanie tego wszystkiego, co chcemy z dawnej Europy zachować i dalej rozwijać. Niema Polaka, czującego łączność Polski z tą właśnie niezniszczalną Europą, niema Polaka, świadomego istotnych interesów politycznych Polski, któryby z radością szczególną, ze wzruszeniem, pełnem wspomnień i nadziei nie witał wieści o oswobodzeniu Paryża, nie przyklaskiwał wszystkiemu co świadczy o obudzeniu się Francji, któryby nie rozumiał znaczenia powrotu silnej Francji do jej wielkiej, zawsze jej należącej politycznej roli.

Nie tylko zresztą uczucie nasze w tej radości uczestniczy, nietylko słowne zapewnienia świadczą o tam zrozumienu, ale jak tyle już razy i tym razem także sojusz polsko francuski wiecznie niezbędny podpisujemy znów krwią naszych żołnierzy, odbudowujemy mocną bronią i bohaterskim czynem dywizji Maczka, która w pierwszych już bitwach okazała się godną Drugiego Korpusu i ponad swą liczbę wydatnie dopomogła do oswobodzenia Francji. Ale ukryć się to nie da, i każdy to zrozumie, że radość nasza z wolności Francji, z wolności Paryża — zmacona jest myślą ustawiczną o losie drugiej, po drugiej stronie Europy stolicy, która od miesiąca już stawia czoło najeźdźcy, której obywatele walczą na progu każdego domu, na każdym kamieniu ulicy, a wolność, jak szybko, tak brawurowo odzyskaną przez Paryż. Ta stolica, nie mająca czarów Paryża, ale mająca duszę nad wszystkie inne miasta świata bohaterska — jest nasza stolicą, jest ona i dziś to wiemy już, będzie nazawsze sercem, sumieniem, największą świętością Polski i dlatego żadna wieść radosna nie może uwolnić dziś serc polskich od najgłębszej troski, od ciężaru świadomości, że nasi bracia, że najlepsi Polacy każdej chwili giną pozbawieni pomocy w nieugiętej Warszawie, że dzieło zniszczenia Warszawy, niedokończone pięć lat temu — teraz w całości się dopełnia. I co niepojęte, co jest nie do wiary, w chwili gdy Warszawa krwawi tak okrutnie, gdy Polska jeszcze jedną, zdawałoby się, już ostateczną ponosi ofiarę — nie wystarcza życzyć sobie aby jak najszybciej Niemcy wyparci zostali z Warszawy i z naszego kraju — trzeba

dziś w piątą rocznicę bezgranicznego polskiego męczeństwa — myśleć jak o celu, trudnym do osiągnięcia — o odzyskaniu przez Polskę prawdziwej wolności, o wypełnieniu się pragnień tych, co za tę wolność oddali życie. Generał de Gaulle już zasiadł jako szef tymczasowego Rządu Francji na Ratuszu Paryskim, wojska aljanckie zajmując Francję wszędzie, gdzie to jest możliwe przekazują władzę prawnym gospodarzom, gdy tymczasem rząd polski zabiega od miesięcy bezskutecznie o prawo wjazdu do własnego kraju, a najbardziej z bohaterskich bohaterów Armia Podziemna Warszawy — nie tylko nie dostaje pomocy wojsk oddzielonych od niej tylko przez Wisłę — ale wystawiona jest na wyzwicka i na fałszywą litość Moskwy. Gdybyśmy uznali nawet że przez pięć lat tej wojny, taki sam był los Paryża i Warszawy — dzisiejsza różnica ich przeznaczeń — byłaby niesprawiedliwością krzyczącą, potwornym paradoksem, mówiącym, że jeszcze wolność nie zwyciężyła, że jeszcze nie wszystkie drogi jej są wytyczone, że jest ona zagrożona śmiertelnie tam właśnie, gdzie najzaciętsza o nią idzie walka, najcięższe dla niej poniesiono ofiary. I otóż mimo to wszystko wbrew szaleńcom, uważającym się za realistów, gotowym przystać na to, że taki będzie los Polski, jaki przepisany jej będzie w Moskwie — sprawa Polski jak była zawsze tak staje się coraz bardziej sprawdzianem powszechnej wolności, miarą zwycięstwa demokracji i chrześcijaństwa, sprawą, której nawet polska słabość i polska ślepotą nie zdolne są uczynić tylko polsko-rosyjskim sporem, odebrać jej ogólnoświatowego i ogólnoludzkiego znaczenia. Nawet ludzie obojętni, nie znający naszego kraju pojmują coraz bardziej nawet z jakże skąpych komunikatów o miesięcznej już dziś obronie Warszawy — że Warszawa jest dziś stolicą wolności, wolności całego świata, tak właśnie jak był zawsze Paryż, z nieustannie powracających na szpalty tytułów sławy polskiego wojska, choć z trudem, ale uczą się, że pełna niepodległość całej Polski jest nakazem zarazem najprostszego sprawiedliwości i najprostszego rozumu, że jeśli ten nakaz nie będzie spełniony, ani sumienie świata ani on sam nie zaznają pokoju. Francja, silniejsza i szczęśliwsza od nas, mogąca nawet w nieszczęściu uśmieszczać się do świata, nauczyła go, że bez jej wolności, niema wolności świata, że kiedy Paryż jest w niewoli — wolność jest w niewoli. Ale poza tą prawdą przez wszystkich uznaną jest jeszcze prawda inna, torująca sobie z największym trudem drogę w historii. Bohaterowie Drugiego Korpusu uczą świat prawdy równie ważnej i niewątpliwej, że niema wolności bez wolnej Polski, bohaterowie Warszawy — umierają aby świat zrozumiał, że niema wolności na świecie, jeśli niema jej w Warszawie.

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

Kompleks Cezarego Baryki

W nieopalanym, bydłym wagonie pociągu z repatrjantami słuchał Czarus Baryka opowieści o szklanych domach. Szklane domy przesłaniały leżącemu w malignie starymu Baryce ruiny, przez które wędrował pociąg-widmo. One były oazą, która oznaczać miała kres wędrowki. Nie dojechał do niej nigdy. Pociąg zatrzymał się na jakiejś małej, brudnej, zniszczonej przez wojnę stacji, pośród zgliszcz. To była Polska i tu rozpoczął się dramat.

Przeznaczenie, kierujące losami osieroconego chłopca, który wysiadł na kresowej stacji, uczyniło go bohaterem i symbolem dramatu tej epoki zniszczenia i upodlenia, wśród której nam żyć przyszło.

Dramat młodego Baryki nie jest tylko dramatem klasycznej dysproporcji między marzeniem i rzeczywistością. W przesłoniętej śmiertelną mgłą oczach jego ojca zamyka się wizja ideału, stworzonego przez cywilizację, budowaną przez setki lat twórczym wysiłkiem tysięcy Baryków, wierzących nawię w chwilach agonii na wiązce zgniętej słomy w dobrą naturę zwierzęcia nazywanego człowiekiem, w postęp twórczy, prowadzący do ostatecznego wyzwolenia, gromady ludzkiej w społeczeństwo ludzi swobodnych, szczęśliwych, godnych.

Chłopiec, który z Czarusia staje się Cezarym, natrafia w swem pierwszym samotnem zetknięciu się z rzeczywistością na świat całkowicie niewspółmierny z wizją jego ojca. Cywilizacja, w którą jego ojciec wierzył, dla której umierał, znajduje się w stanie całkowitego rozkładu. Nikt nie myśli o wydobywaniu z pod gruzów ideałów przysypanych popiołem, zatraczonych w zamęcie wielkiego kataklizmu historycznego, który przeszedł nad Europą. Ty nie Judym buduje na gruzach domy dla bezdomnych i sierocińce dla osieroconych — to Pochroń, który z sutenera staje się paskarzem, z kanalji spekulantem politycznym, zabudowuje ulice miast łańcuchami swych zakładów przemysłowych, domów czynszowych i lupanarów. To on. Pochroń, jest wpływowym i szanowanym, na niego sypią się zaszczyty i odznaczenia, to on organizuje, odbudowuje, tworzy.

Cezary patrzy na świat oczyma oświeconymi i szczerymi. Ludzie cywilizacji jego ojca stoją wobec nadciągającej, zalewającej wszystko fali nieprawości, całkowicie bezradni. To przebudzenie się zła nie było w ich przewidywaniach. Programy, które ich dotychczas prowadziły stały się

pamiątkami historycznymi. Jakżeż tu budować nowe, w rzeczywistości całkowicie odwróconej od tej, która tak logicznie prowadzić miała do ostatecznego zwycięstwa słuszności? Ludzie, których wynosiła fala wydarzeń, nie mieli poza sobą innej szkoły, jak jakieś wojennych kursów dokształcających, innego prawa jak prawo pięści i łokci, innej ambicji, jak tylko niepokochane pragnienie życia.

Starsze konserwatywne paniusie kiwały ze zgorzneniem głowami: Jakież to mieszane towarzystwo w tych Bagatelach i tych Esplanadach. Starsze paniusie miały głęboką rację i słuszne powody do kiwania głowami. Bardzo, bardzo mieszane towarzystwo zalało końskie kasyna i profesorskie kluby, Esplanadę i Ziemiańską, Cafe de la Paix i Deux Magots, Ritz i Chambre des Deputes, Bristol, ulicę Wiejską, la Bourse i Stock Exchange.

W tym świecie cynicznym i zdemoralizowanym, w którym bezprogramowość i bezideowość zostały podniesione do rzędu cnót, którego religją stało się życie wegetatywne, fizjologiczne, w najgłębszym znaczeniu, Cezary błąka się samotnie w poszukiwaniu drogi, któraby go wywiodła w rzeczywistość, do której nigdy nie dojechał trawiony gorączką jego ojciec. Drogi, po których błądzi, nie wiodą nigdzie.

Czarus jest dzieckiem Europy. Marzenie o szklanych domach, o cywilizacji szklanych domów było wizją, która wiodła przez pustynię mieszczańskiej zmaterializowanej Europy całe pokolenie dziedziców wielkiego spadku ideowego epoki Traugutta i Garibaldi.

W wielkiej burzy, szalejącej nad kontynentem, piach zasypał dziedzictwo, pożar spalił marzenia, w grobach legli wodzowie. Zorganizowana nikkczemność, torująca sobie drogę kulą skrytobójczą, oszczerstwem, intrygą i pieniądzem, wpęła na trybun, w ławy parlamentarne, w fotele ministerjalne, w najszacowniejsze instytucje społeczeństwa. Zwycięstwo demokracji, osiągnięte w wielkim pojedynku wojennym, było jedynie zwycięstwem formy. W czasach, gdy Arystydes Briand czarem swej wymowy rozaczał przed genewskimi fotelami obrazy wieczystego pokoju w cieplej, różowej atmosferze pachnącej perfumami Coty'ego mieszczkańskiej demokracji formalnej, — trawa porastała mogiła Jauresa, oszczerstwo kalało pamięć Rathenaua,

gromada zbiorów mordowała Mateotiego, grudy błota padały na Narutowicza.

Równocześnie ze zwycięstwem demokracji formalnej demokracja walcząca i żywa, osierocona przez przywódców, przechodziła jeden z najcięższych kryzysów — kryzys myśli programowej. Straszliwa atonja woli i myśli twórczej poraziła jej aktywne centra.

Na bruku miast, w długich ogonkach przed urzędami rejestracji bezrobotnych znalazły się dzieci Europy. Ich szkołą była czteroletnia, choć wieki trwająca, podróż do kresu nocy, podróż mara, z której otrząsnęli się w zgiełku przedmiejskiej ulicy, na dnie, przytłoczeni rozmiarem dysproporcji, panujących w ustroju, którzy miał rzekomo im dawać prawo do szczęścia. Są samotni i osamotnieni. Sceptycy i rozczarowani. Nie wierzą już w słowa, ewangelje, programy. Każdy nerw drga protestem przeciw bezsensowności ich własnego losu, przeciw wyzyskowi, którego są ofiarą, przeciw Babilonowi pieniądza, przeciw cywilizacji, która nie umie brudnych przedmięt zamienić w miasta szklanych domów, przeciw religjom, które głoszą, że ten świat jest najlepszym ze światów.

Ktoś mówił im kiedyś, niedawno, w złych godzinach potu i krwi i trwogi: "Walczycie o lepszy, sprawiedliwy świat, o wolność. Wytrwajcie. Ktoś mówił im niedawno, w godzinach rozpacz: "Podnieście głowy, w godzinach Waszą niewolę, damy Wam nowe życie. "To było wielkie oszustwo, i wiedzieli dziś i jedni i drudzy, że to nie o to szło, a o łup.

Cezary szuka dróg. Zagubiony w zaułkach, w których fanatycy i cynicy, niebezpieczni maniacy i pozujący na filozofów widmowosze próbują nasycić głód bezdomnych liczmanem wyświechtanych frazesów, strzępkami jakichś fałszowanych ewangelji, szuka instynktownie wyjścia na jakiś swobodny, szeroki trakt, na którym mógłby się zachłusnąć tęgim i szerokim wiatrem, przestrzenią, horyzontem. I nagle czuje podmuch wiatru w twarz, idąc szeroką aleją, w pełnym słońcu przedwojnia, z tłumem demonstrantów na Belweder.

Kompleks, który kieruje działaniem Czarusia rozwinął się z konfliktu między sceptyczną niewiarą w człowieka i jego zdolnością kształtowania rzeczywistości, a głęboko ukrytym w podświadomości pragnieniem świata uporządkowanego i harmonijnego. Przepłynąwszy przez sito świadomości

wybucho on gwałtownym buntem przeciw rzeczywistości zastanej i szamocąc się z bezsiłą własnego intelektu i wyobrazni przeradza się ostatecznie w pragnienie jakichś wielkich, zasadniczych zmian, dokonanych jednym odruchem wspaniałego gniewu.

Świadomość Cezarego utkana była z mocnej przędzy historii, wypełniona poczuciem godności jednostki, wykształcona w tradycji tego prawdziwego szlachectwa, które nie jest przywiezieniem, ale tkwiącym we krwi nakazem życia heroicznego, nie znającego ceny poświęceń w służbie obowiązku.

Z zapartym oddechem słuchał kiedyś, jako entopiec, opowiadań swej matki o szaleństwie wdalego Walgiera, pierwszego z Baryków, o wędrowności romantycznego pradziadka Rafała Olbromskiego, o wierne rzecze, w której śmierć znalazła rodzona siostra jego babki, ta piękna z wyblakłej fotografii nad starą komodą, w której przechowywano pamiątki rodzinne. Ta tradycja dumy i wiekkości, wyniesiona z jodłowej puszczy jego dziadków, tkwiła w każdej komorce jego ciała, w każdej grudce protoplazmy. Kochał ją tak mocno, jak wspomnienie matki, która w godzinach samotnej troski lubiła snuć swoją dumę o synu hetmanie, widzieć go na czele ludowych hufców polskiego rycerstwa, których potęgę i piękno uczył ją kiedyś kochać przyjaciel jej młodości, lekarz o chłopskim nazwisku Judym.

I dlatego, gdy poczuł na swych policzkach powiew szerokiej alei, był blady, jak bladym być musiał w godzinie swej młodej śmierci Adam Żeromski.

Był blady i strasznie dumny i wiedział, że idzie wielkim, szerokim traktem historii, wspaniałą jak hetman na zasłanym ciałami towarzyszy polu cecorskim. Był w szeregu i był na swoim miejscu. Ta świadomość była czynnikiem sublimującym jego bunt, ona skierowała go pod niezwykłe ciężone i nieskalane sztandary rycerskie jego ojców i dziadków — sztandary wolności człowieka.

Zamknął się krąg i zamknęły się dzieje Czarusia.

II.

Wracających z zakrwawionych, kulami i grobami zrytych pobojuwisk Europy nie witał dom rodzicielski ciepłym uśmiechem matki, spokojem zasłużonego odpoczynku. Gdy po ostatej, wielkiej paradzie zrzucili z siebie szary blichtr zawzonego munduru nędza patrzyła im w oczy tem samym wyczekującym spojrzeniem, jak niedawno jeszcze, tam w polu uparcie patrzyła w nie śmierć.

Wszystko się zmieniło, zatracono, przetraciło. W bezimiennych, zbio-

rowych mogiłach pochowali swych przyjaciół i swoją młodość. Z czasów przed burzą zostały im tylko blade wspomnienia dzieciństwa. Szkoła, która ich wycenowała dała im dość dużo informacji o rzeczach, liczbach i datach, nie nauczyła ich jednak ani pracy, ani sztuki samodzielnego różnicowania ziarna od plew. Podmucha historii zniszczył ich świat, w którym kiedyś żyli i który ich kiedyś wychowywał. Stał się wśród ruin.

Byli ludźmi niepotrzebnymi. Niepotrzebni byli w cywilizacji, która wyżej stawiała spryt nad mądrość, pieniąż nad wartość, przebiegły egoizm nad bohaterskie zaparcie się siebie. Wszystko, w co kiedyś wierzyli było iluzją, kłamstwem lub oszustwem.

Demokracja, w której dezertor rzadzi bohaterem, złodziej uczciwym, głupawy spryciarz mędrcom wydawała się im oszustwem i kłamstwem.

Iluzją była dla nich rzekoma równość narodów i ludzi, gdy silny gnębili słabego, syty głodnego, nikczemny szlachetnego.

Iluzją była wiara w dobrą naturę człowieka, w jego zdolność organizowania swego bytu, w jego moralny i cywilizacyjny postęp.

Z goryczy rozczarowania rodził się w nich bunt i gniew — ten sam kompleks rewolucyjny, który poprowadził Czarusia Barykę pod bramy belwederskiego pałacu.

Rodził się on z reakcji moralnej przeciw nieprawości cywilizacji, w której największe ofiary, jakie człowiek dać może gromadzie ze swego życia, cierpienia i śmierci, stały się przedmiotem przetargów między kombinatorami i handlarzami, z rozczarowania, że idee, w które kiedyś kazano im wierzyć i dla których musieli cierpieć były jedynie argumentem propagandy, bezwartościową obietnicą, daną im dla zaspokojenia ich duchowego niepokoju wtedy, gdy byli jeszcze potrzebni.

Uczucie klęski i rozczarowania zalewało goryczą zwycięzców i zwyciężonych. Wszędzie, we wszystkich stolicach Europy tlił się ogień buntu w masach zawiedzionych i oszukiwanych.

Tylko siła coś znaczy. W powodzi negującego wszystko pesymizmu siła stawała się wykładnikiem wartości najwyższej, jedynym imponowalnym, które wszyscy musieli szanować, celem samym w sobie. Tylko siła i gwałt.

Niewypalona jeszcze rewolucja powojenna tliła wciąż w głębokich wadłach miast, w środowiskach, w których łatwo znajdowały posłuch doktryny rewolucyjnego obrazoburstwa. Jej wspomnienie, wciąż żywe, bu-

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 60 cents
Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

dziło w większości społeczeństwa grozę i przerażenie; świeżą była pamięć potworności, jakie przyniósł za sobą rosyjski paździcznik i krwawo szaf Spartakusa. Powszechna obawa przed rewolucją, przed straszliwym terrorem motłochu paraliżowała myśl o reformie ustroju społecznego, zostawiając otwarte bramy dla inwazji najciemniejszego wstecznictwa.

Dla wykolejonych przez wojnę, sproletaryzowanych synów mieszczaństwa utracony raj spokojnego, przedwojennego dosytu był wspomnieniem najczulszym i najgłębszym. Tradycja przywileju, głęboko schowana w sercu, nie pozwalała się im dostosować do roli lokatorów suzereny czy poddasza w kamienicy, w której dzieciństwo spędzili na pierwszym piętrze.

Przewyciężając wrodzony kompleks niższości szybko uznali się za zapoznaną elitę męstwa i zasługi, na której spoczęła odpowiedzialność za przyszłe losy świata. Umysły niedokształcone, opętane obsesją nienawisci i manją prześladowczą kompilowały z lubością ze szczątków wiedzy, z apokryfów, przesądów z urojen własnej wyobraźni historjografje obłąkane i fałszywe.

Zwolniony z więzów moralnych, spuszczonej z łańcucha komplekt rewolucyjny, wyhodowany w ich duszach stawał przed ich oczami wizje gniewnego szatu brutalnego odwetu za upokorzenia doznane i urojone. **Dzieci Europy przestały być dziećmi. Stały się wyrodnymi wyrostkami, dojrzewającymi na przestępców i zbrodniarzy.**

Z mówców na wiecach i komersach, z demagogów i pyskaczy najzacieklejszych, z fanatycznych organizatorów, z obłąkańczych teoretyków, z najbrutalniejszych zbirów bojówek tworzyła się elita ruchu, cyniczna, bezwzględna, opętana żądzą

władzy i bałwochwalczym kultem siły Władza była jej jedynym celem.

Bunt rozszerzał się i rósł. Wzbierały szeregi. Napływali do nich wykolejeńcy i rozbitki wszystkich klas i stanów, których żywoty, charakter i zasad moralne wypaczyła wojna i połamały tryby straszliwej w swej bezymyślności cywilizacji przemysłowej.

Łączyła ich solidarność straceńców i solidarność nienawiści. Dusił gniew i dławiła złość.

Nienawiść nie buduje nigdy. Ale jest źródłem natchnień mistycznych, silnych jak śmierć sama i zniszczenie, które są jej celem najwyższym.

Łatwość zdobywania mas i potężny dynamizm organizacyjny, przesiąknięty hasłami reakcyjnymi i egoistycznymi zyskiwały im poparcie konserwatywnego mieszczaństwa. Sprzyjali im baronowie i rekiny przemysłu w przekonaniu, że ruch ten, prowadzony przez nieuków, da się doskonale wykorzystać dla położenia tamy presji lewicy społecznej.

Choroba kontynentu pogłębiała się. Barbarzyństwo stawało się modą intelektualną. Wiara w siłę i silnego człowieka wydawała się milionom jedyną drogą do zbawienia, do uratowania tego, co jeszcze zostawało nietknięte z cywilizacji.

Demokracja, której rozwój ideologiczny zatrzymał się i zatracił w fałszywym realizmie epoki, niezdolna do wyjścia w swym programie społecznym poza spadek ideowy czasu minionego, nie mogła stawić oporu. — Droga do władzy była otwartym gościńcem.

Rozpoczął się marsz na stolicę. Brutalnie przepędzono ostatnich mohikanów epoki oświeconego meszczaństwa z ich foteli, katedr, urzędów. W obozach koncentracyjnych osadzono myślicieli i moralistów, prawdziwych trybunów ludu reformatorów społecznych, salonowych deklamatorów rewolucji i ogrodników bezpiecznego pacyfizmu, pięknoduchów i radykalizujących impotentów. Na boczny tor odstawiono wpływowego Pochronia,

zabezpieczając sobie jego przychylną koncesjami.

Przestępca i szalenięc przejęli władzę z rąk kauzypierdów, spekulantów i kombinatorów.

Europa stanęła pod znakiem ludzi gniewnych i złych.

Rewolucja, którą z sobą ci ludzie przynieśli, nie mogła być niczem innym, jak rewolucją nihilizmu.

Demokracja przegrała tę bitwę. Nie mogły jej uratować próby reform robione naprędce, po niewczasie, w ostatnich minutach przed dwunastą. **Nie mogły jej uratować zawierane w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa kompromisy z wrogami.** Nie mogły jej uratować Fronty Ludowe, tak jak nie mogło jej uratować Monachjum. Te próby, prowizoryczne i zdradliwe, jak każdy kompromis, były spóźnione o lata. Dziesiątki lat.

Klęska jej była rzeczą nieuniknioną, jak nieuniknioną była wojna, która tę klęskę przypieczętowała sygnałem ognia i krwi.

(Dokończenie nastąpi)



Żołnierz 9 Zamojskiego Pułku Piechoty Polskiej Armii Podziemnej — spowiada się w lesie.

ROMAN FAJANS

BITWA O ANCONĘ

(OD WŁASNEGO KORESPONDENTA)

Jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek nie byliśmy pewni, czy natarcie na Anconę rozpocznie się o świcie następnego dnia. Wiedzieliśmy, że wszystko było przygotowane i że bitwa rozpocznie się tak czy siak. W niedzielę po południu ucodziło za ostatecznie zdecydowane, że początek akcji wyznaczono na następny ranek. Wieczorem jednak w Porte San Giorgio, gdzie znajdowała się kwatera Prasowa, zaczęto poszeptywać, że natarcie ołożono do wtorku. Do późnej nocy nie zdołaliśmy uzyskać potwierdzenia ani zaprzeczenia tych wiadomości.

W poniedziałek rano wszelkie wątpliwości zostały usunięte. Z pierwszego rzutu zatelefonowano: "Jechać". Znaczyło to, że akcja rozpoczęła się o świcie. Niebawem dowiedzieliśmy się dalszych szczegółów. Natarcie wyszło ze wzgórz na odcinku od północno-zachodu do północno-wschodu od Osimo, w kierunku północnym, do morza, i poprzedzone zostało intensywnym atakiem powietrznym RAF'u na pozycje n-pla oraz silnym ogniem naszej artylerji. Pierwsze wiadomości były dobre. Zdobyto szereg umocnionych pozycji niemieckich, posunięto się naprzód o parę kilometrów i wzięto sporo jeńców.

Wyruszyliśmy natychmiast na linie frontu. Było nas czterech korespondentów, sami Polacy. Korespondenci zagraniczni udali się oddzielnie na inne odcinki frontu. My skierowaliśmy się ku Osimo. Droga ku temu miastu, a raczej wspaniale położonemu gniazdu górskiemu, wiedzie przez Loreto, ciężko doświadczone na parę nocy przedtem przez silny atak bombowy "Luftwaffe". Szczęśliwym celem tego ataku była słynna bazylika Loretańska, w której wielkiej kopule jedna z bomb wybiła pokąźną dziurę. W kościele powstał pożar, ugaszony ofiarnym wysiłkiem żołnierzy naszej Dywizji Karpackiej.

Już w Loreto słychać było niedaleki huk dział. Akcja musiała być w pełnym toku, gdyż działa nie milkły ani na chwilę. W miarę jak zbliżaliśmy się bocznymi drogami do Osimo, koncert artylerji potęgował z każdą chwilą. Pędem przejechalimy serpentyny, pnące się ku górze i wiodące ku Osimo. Trzeba było się śpieszyć, gdyż droga ta była bardzo odsłonięta i wystawiona na ostrzał artylerji n-pla. Jechaliśmy z przednią szybą Jeep'a spuszczonej i zasłoniętej kocami.

Osimo czyni wrażenie prawdziwe-

go pola bitwy. Jest niemal zupełnie wyludnione. Od czasu do czasu jakaś cywilna postać ludzka przemyka się szybko i lekliwie pod ścianami domów. Tu i ówdzie grupka ludzi skupiła się przed którąś bramą i uważnie nasłuchuje koncertu dzał. Rano, miasto było silnie ostrzeliwane przez artylerję niemiecką i nieliczni pozostali mieszkańcy kryją się po domach. Kręcimy się nieco po pięknym, starym mieście. Wszystkie sklepy zamknięte. Na murach afisze z napisami "W. le Truppe Alleate. W. La Divisione Polacca". Na ulicach spotykamy sporo żołnierzy z Dywizji Karpackiej. Na jednym z placów — grupka jeńców niemieckich. Wzięto ich przed godziną zaledwie. Sami prawie Ukraińcy i Rosjanie, tylko jeden podoficer Niemiec. Należą do "Ost-Bataillon'u".

Po chwili podchodzi do nas paru oficerów Karpackiej. Witają się i jeden z nich oświadcza ze śmiechem: "Przed chwilą żołnierze, zaniepokojeni obecnością panów, zwrócili nam uwagę na was. — Kręcą się tu jacyś ludzie — zakomunikowali nam — mówią po polsku, mają orzelki na czapkach, ale to nie żołnierze..." Proszą nas do dowódcy Dywizji, generała D., który właśnie w Osimo ma swą kwaterę i stąd kieruje operacjami.

Kwatera generała D. znajduje się w starym pałacu biskupim, obok katedry, której piękne płaskorzeźby chronione są przez worki z ziemią. W obszernej sali na pierwszym piętrze znajdujemy kilku oficerów, obłożonych mapami. To oddział operacyjny. Bezustannie dzwonią telefony, wciąż przybywają gońcy z meldunkami. Czuć tu wyraźnie pulsujące serce bitwy. Obok pięknych foteli, starych stołów i rzeźbionych wspaniale komód leżą plecaki, rewolwery i hełmy. Za purpurowymi firankami znajduje się szafa z relikwiami.

Zanim wyjdzie do nas generał D., oficerowie objaśniają nam sytuację. Akcja rozwija się pomyślnie. Czołgi wykonały od rana doskonałą robotę i wysunęły się znacznie naprzód. Piechota podąża za nimi. Opór n-pla był miejscami dość silny, lecz został szybko złamany. Opanowano szereg pozycji niemieckich, wzgórz i miasteczek. Ogień artylerji nieprzyjacielskiej jest raczej słaby. Jeńcy tłómaczą to tym, że ataki RAF-u i ogień naszej artylerji tak dalece dezorganizowały łączność n-pla, że obserwatorzy nie mogli komunikować się z baterjami.

Oficerowie pokazują nam na mapie punkty zdobyte już i te, o które obecnie toczy się walka.

Po chwili ukazuje się generał D. Rozmawia z nami, odpowiada na parę naszych pytań i prosi oficerów, by pokazali nam panoramę bitwy. Widać ją doskonale z pałacu, lecz oglądając ją z okien, trzeba bardzo uważać, gdyż nieprzyjaciel jest jeszcze blisko i może nas ostrzelać.

W sali pałacu, w której znajdujemy się, są dwa wielkie okna. Oba zasłonięte są grubymi firankami. Z jednego z tych okien mamy ogładać pole bitwy. Po jednému, kłękamy przy oknie wraz z jednym z oficerów i patrzymy przez lornetkę. Widok jest wspaniały. Mamy przed sobą niezrównaną panoramę toczącej się bitwy. Jesteśmy bardzo wysoko i widzimy z góry okolice w bardzo szerokim promieniu. Mamy przed sobą coś w rodzaju żywej, plastycznej mapy, na której studjować można wszystkie operacje, jakie przeprowadzono od świtu. Po kolei pokazują nam poszczególne wzgórza i miasteczka, zdobyte już, te, o które toczy się obecnie bój, i te, które są jeszcze w rękach n-pla. Tuż pod nami znajdują się wyniosłości, z których dziś rano wyszło natarcie. Dalej widać małe skupiska dymiących domków i bruzd, wyłobione w polach przez nasze czołgi. Te czarne punkciki, tam dość daleko, to właśnie czołgi i psuwająca się naprzód piechota. Nasze działa grzmia bezustannie. Sporadycznie i słabo odpowiada im artylerja niemiecka, chwilami jednak daje się i ona we znaki. Oto nadszedł właśnie meldunek, że przed chwilą nieprzyjaciel obłożył silnym ogniem jedno ze wzgórz, z których wyszło nasze natarcie. — Wzgórze to położone jest tuż obok Osimo.

Pozostajemy jeszcze jakiś czas w pałacu. Wiadomości są coraz lepsze. Opór n-pla zaczyna się wyraźnie łamać. Jest nadzieja, że do wieczora oddziały nasze przebędą połowę drogi do morza. Nieprzyjaciel daje coraz widoczniejsze oznaki zaniepokojenia z powodu możliwości oskrzydlenia go i odcięcia. Nie jest wykluczone, że nocą będą próbowali wycofać się. Trzeba zapobiec temu i posunąć się dziś jak najdalej. Jeńców wzięto już ponad pięćset. Niektórzy poddają się odrazu, inni walczą do ostatka i składają broń wówczas dopiero, gdy sytuacja staje się zupełnie beznadziejna.

Jedziemy dalej, tym razem do Dywizji Kresowej. Tu niema już góry, miasta ani pałacu biskupiego. Dowództwo dywizji rozmieszcza się w szerym polu, pod samym miasteczkiem Monterano, w namiotach i wozach. Wchodzimy do wozu operacyjnego. Wszystkie jego ściany zawieszono są mapami. Znowu telefony dzwonią swym natrętnym terkotem. Na mapach wciąż przesuwane są czołgóweczki. Na celofanie, pokrywającym niektóre z map, oficerowie kreślą czerwonymi i niebieskimi ołówkami kółka, krzyżyki i skomplikowane linie. T ruchy artylerji.

Na folwarku, tuż obok dowództwa, gromadzą jeńców. Jest ich już około stu, a wciąż przywożą nowe partje. Niema tu Ukraińców ani Kosjan. Sami Niemcy z 278ej dywizji generała Hoppe. Jest kilku oficerów i sporo podoficerów. Wyglądają znacznie lepiej, niż ci z "Ost-Bataillon'u", ale też nie zawsze świetnie. Mundury bardzo różnorodne, twarze często wymizerowane. Mówią mało i niechętnie. Jest wśród nich dwóch Polaków, jeden Ślązak, drugi Pomorzanin. Oddzielono ich natychmiast od pozostałych jeńców. Leżą z naszymi żołnierzami pod namiotem i kurzą papierosy Są szczęśliwi.

Jedziemy do brygady czołgów. Jest ona silnie wysunięta ku przodowi i droga do niej daleka. Przejeżdżamy przez okolice, po których widać wyraźnie, że dopiero co były polem bitwy. Wzdłuż trzeciorzędnej szpasy, po której mknę nasz Jeep, roztawione są co paręset metrów tablice z napisem ostrzegawczym: "Uwaga. Droga pod ostrzałem nieprzyjaciela". My jednak nie odczuwamy jakoś tego ostrzała. Wogóle, ogień artylerji cichnie coraz wyraźniej. Spotykamy ciężarówkę, na której, przykryty kocem leży zabity żołnierz. Inny wóz wiezie kilku rannych.

Dowództwo brygady czołgów kwateruje w polu, obok dowództwa jednego z najlepszych pułków brytyjskiej kawalerji zmotoryzowanej.— Obie jednostki odznaczyły się wybitnie w ciągu dzisiejszego dnia. Zatrzymujemy się chwilę u Anglików i podążamy do naszych. Wyciągamy z pod kop siana śpiącego oficera informacyjnego. Stary to znajomy i wielki przyjaciel korespondentów wojennych. Po nieprzespanej nocy i trudach dziennych zdrzemnął się ledwie nieco, a oto już natrętni dziennikarze przezwali mu zasłużoną chwilę odpoczynku. Por. S. nie rzędzi jednak. Wita nas serdecznie i chętnie dzieli się wrażeniami. Jest ogromnie zadowolony z wyników dzisiejszej akcji, tak samo zresztą, jak jego koledzy.

Dowiadujemy się, że rano, gdy



Wodzowie polscy i brytyjscy: gen. Alexander, gen. Sosnkowski, gen. Leese, gen. Anders.

przesłuchiwano pierwszych jeńców, m. p. dowództwa brygady obłożone zostały silnym ogniem artylerji niemieckiej, który na szczęście, nie przyczynił prawie żadnych strat. Obecnie zato jest cicho. Zbliża się wieczór. W akcji nastąpiła widocznie krótka przerwa. Nie będzie ona jednak trwała długo, chodzi bowiem o to, by nie dać n-plowi ochłonąć po dzisiejszej porażce i przegrupować się.

Poszczególne czołgi wracają z akcji żołnierze są zmęczeni, zakurzeni, ale rozradowani. Wiedzą, że odnieśli duże zwycięstwo. Na obszernej polanie grupują przywiezionych jeńców. Znowu ten sam widok, co w Kresowej. Sami Niemcy, sporo podoficerów. Oficera żadnego nie znajduję. Spisują ich, sprawdzają dokumenty i ekspedjują dalej. Jest ich sporo, znowu kłudziesięciu. Zapada wieczór. Wiemy już, że bitwa o Anconę jest wygrana. Chodzi tylko o to, czy zajmiemy samo miasto jutro, czy pojutrze, i ilu weźmiemy jeszcze jeńców.

Ancona zajęta została nazajutrz, we wtorek, o godzinie 14:30. Po krótkiej walce z tylnymi strażami wycofujących się wojsk niemieckich, pierwszy wkroczył do miasta Pułk Ułanów Karpackich. Nieliczna pozostała w mieście ludność zgotowała ułanom gorącą owację. Były kwiaty i wino, wiwaty i przemówienia powitalne na ratuszu. Gdy jednak minęły te pierwsze chwile upojenia, zaczęła szczerzyć zęby ponura rzeczywistość. Z dawnej, pięknej, ludnej Ancony nie wiele pozostało.

Gdy przyjechałem do miasta, ude-

rzony był jego żałobnym wyglądem. Ulice były puste, wyludnione. Ze stu blisko tysięcy mieszkańców pozostało zaledwie siedem - osiem tysięcy. Reszta uciekła. Cała część miasta, bliższa portu, przedstawia smutny widok swych ruin i zgliszcz. Całe szeregi wielkich bloków mieszkalnych są zupełnie rozwalone przez bomby. Port jest całkowicie zniszczony i zablokowany Bardziej oddalona odeń, nowoczesna, reprezentacyjna część miasta ucierpiała mniej, ale i tu rzadko spotyka się kogoś z mieszkańców Wszystkie bez wyjątku sklepy są zamknięte lub rozbite i ograbione. Na ścianach domów widać afisze z nagłówkami: "Forze armate Tedesche" (Niemieckie siły zbrojne), a obok nich obwieszczenia "Polizia Militare Pollacca" (Polska Policja Wojskowa).

Na głównym placu miasta, Piazza Cavour powiewa chorągiew biało-czerwona. Na tymże placu jacyś żartownisie umieścili na cokole dużą puszkę do zbierania ofiar, a na niej głowę Mussoliniego z brązu. Ex-Duce trzyma między wargami niedopałek papierosa. Na puszcze umieszczono napis: "Un disoccupato — al vostro buon cuore" (Bezrobotny odwołuje się do waszego dobrego serca).

Liczne domy w Anconie podminowane zostały przez Niemców i dostęp do nich jest wzbroniony. Większość ulic również nie jest bezpieczna i ruch samochodowy odbywa się po kilku tylko, ściśleznaczonych arterjach. Wciąż posuwają się po nich kolumny wozów polskich. Kierują się wszystkie ku północy-zachodowi, po nowe laury i zwycięstwa.

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

L A S

Czasem w lesie, o srebrnym świcie,
Kiedy cisza pod drzewami kłęka,
Słysząc serca leśnego bicie
Pośród olch w koronkowych sukienkach.

W dole — leśne, brzożowe sploty
Wiosnę tulą — najczulszą z wiosen.
W górze — lasu strzelisty gotyk
Pnie się w niebo szczytami sosen.

Na ołtarzach leśnych białe konwalje
Zapaliła wiosna Bogu w ofierze
I odchodzi lasem, i żal jej,
Że ją brzoza żegna cichym pacierzem.

Niech tam człowiek — świata właściciel
Nowe czołgi wymyśla i działa —
Las się codzień będzie srebrzył o świcie
I purpurą o zachodzie pałał.

Kiedy bomby padając, zaświszczą,
Nie zagłuszą słowika piosnek,
Tylko wiosną twarz wychyli ku zgliszczom
Mały, świata ciekawy pierwiosnek.

Jak to łatwo zachwycać się wiosną,
Ptaków śpiewem, czy srebrnym świtem...
A na polach bitew kwiaty rosną.
Maki kwitną na polach bitew

Wzleć, poezjo, ponad zbrojne tłumy,
Rwij proporce pancernym pułkom —
Czyż nie widzą, jak obok strumyk
Muska piersi lotnym jaskółkom?

Czyż im mało ziemi na ziemi?
Czyż im mało nieba na niebie?
Każ im klęknąć i hełmy im zdejmij
Niech się modlą, poezjo, do ciebie.

Potem otwórz oczy generałom,
Pozwól ujrzeć pokonanym wodzom,
Jak się niebo rumieńcem oblało,
Jak po polach aniołowie chodzą.

Wtedy gniewem im w sercach zapalaj,
Aż poniesie ich moc przeogromna
Marszem — aż pod dyktatorski pałac,
Szturmem — w ciszę dyktatorskich komnat.

Niech złotego cielca przychwycą,
Niech mu zedrą z piersi ordery,
Niech powleką go tłumną ulicą
Aż do twojej, poezjo, kwatery.

A tam, w lesie, ty mu wyjdiesz naprzeciw,
Aż zachłyśnię się fjołków wonią,
Las mu rosy brylantami zaświeci
I liljowe się dzwoni rozdzwonią.

Wtedy on, który był świętością,
Który zrodził się z mitów i z magji,
Który węzeł gordyjski rozciął,
Palił Rzymy i palił Reichstagi.

Który z wojny czerpał natchnienie,
By świat zniszczyć "narodu wolą",
Naznaczony przez "przeznaczenie"
Bożek wojny, Lewiatan, moloch.

Wtedy on, kiedy ciebie obaczy,
Gdy twe pozna, poezjo, oblicze,
Na twarz padnie, zawyje z rozpaczny,
Zblednie, zgaśnie i stanie się niczem.

Wtedy wiatry powieją po lesie
I rozsypią w pył jego kości,
Wicher prochy po polach rozniesie,
Aż skowronek zakwili z radości,

Aż po lesie, liści poszumem,
Wieść się nagle rozniesie radosna,
Aż się miasta rozfalują tłumem:
— Wolność! Równość! Braterstwo! I wiosna.

Mówisz, bracie, że tak się nie stanie,
Bo w tym wierszu brakuje logiki.
Tak. Wiem, wiem. To złudzenie. Usypianie.
Słowa, słówka. Wiersze i wierszyki.

Wiersz ten powstał z pobożnych życzeń —
Nierealny ze świata emigrant.
Cóż tam znaczą jakieś piosnki słowicze,
Gdy się wojny poezją nie wygra?

Lecz Ty ześlesz nam Wiek Złoty, o Boże,
Jeszcze raz więc, już ostatni na zawsze,
Niech powiedzie nas w bój Biały Orzeł.
Przyjdź, o chwilo naszej bitwy najkrwawszej!

STEFAN P. MIERZWA

MÓJ OGRÓD ZWYCIĘSTWA

WRAŻENIA I REFLEKSJE



... Cały ogród "forty by fifty" czyli 12 przez 15 metrów
został rozparcelowany na grządki ...
(fotografia prof. Mierzwy) ...

CZĘŚĆ II. ROK 1944 ROKIEM ZWYCIĘSTWA

Postanowiłem z miejsca, tym razem naprawdę na serjo, że w r. 1944 — prawdopodobnie w roku zwycięstwa na froncie europejskim — muszę mieć zwycięski ogród zwycięstwa, — chociażby tylko ku zazdrości sąsiadów. Ale już nie ten w górze ale mój własny, na dole przy domu. Przedewszystkim ukończyłem projekt drenowania. Zacząłem również zbierać różne wycinki z gazet, z czasopism, różne specjalne broszury na temat ogrodów zwycięstwa. Przed Bożym Narodzeniem nazbierałem tyle tego, że możnaby było stworzyć bibliotekę podręczną ministerstwa rolnictwa w jakimś państwie jak np. w Abisynji. W sezonie zimowym, ot tak dla rozrywki i zmiany atmosfery, zacząłem to wszystko czytać od a do z. Aż mi się w głowie mąciło. Kiedy to za moich dziecięcych czasów chłop polski czytał literaturę naukową, albo słuchał fachowych rad przez radio, albo dawał nawozy sztuczne. A wszystko mu jakoś rośło. Albo on mądrzejszy, niż się niejednemu zdaje, albo ziemia polska jest więcej urodzajna, albo mniej na niej szkodników i chorób roślinnych, albo wszystko razem.

Według tej amerykańskiej literatury naukowej agrarno-ogrodniczej, wszystkie warunki co do miejscowości, słońca i gleby były takie jakich ja nie miałem. Gleba winna być czarna, względnie ciemnego koloru, bogata w próchnicę, lekka, wilgotna ale łatwo przepuszczalna, dużo słońca — nie w cieniu i nie blisko drzew. U mnie wszystko było odwrotnie. Ale przecież święci ganków nie lepią. Nazwoziłem lżejszej ziemi taczkami z pobliskiego lasu i wolnych parceli, by teren podnieść i jałowej ziemi dać trochę próchnicy, ściąłem kilka drzew — swoich i nie swoich — by mieć choć 4 do 5 godzin słońca w ciągu dnia, ogród kilkakrotnie przekopałem by ziemię dobrze zmieszać. Przy tym zakopałem wszystkie liście jakie mogłem u siebie i u sąsiadów znaleźć. Największą radością — a jednocześnie przedmiotem rozmów i zazdrości w całym sąsiedztwie — było zdarzenie późną jesienią, kiedy mojemu synowi udało się dostać i do tego w prezencie, dwie fury obornika ("a regular old-fashioned cow manure"). Pracując podczas wakacji w ogrodzie u pewnego "gentleman-farmer'a" który miał kilka krów, nauczył się prowadzić sa-

mochód ciężarowy. By się popisać tą swoją nowozdobytą umiejętnością, przywiózł pewnego dnia dwie fury obornika. Było to jednocześnie delikatną sugestją, że mógłby on już prowadzić i auto osobowe — nawet naszego 8 lat liczącego Hudsona..

W ciągu miesięcy zimowych przeglądałem tą całą nagromadzoną literaturę ogrodową. Cały ogród, "forty by fifty" czyli 12 przez 15 metrów, został na papierze rozparcelowany na grządki. Droga selekcji i eliminacji — co kto lubi a czego nie, co się może udać a co prawdopodobnie nie — zgodziliśmy się wszyscy na 21 różnych jarzyn. Dlaczego 21 a nie 20 lub 22? Nigdy byś nie zgadł czytelniku. Otóż dla dwóch zasadniczych powodów: (1) 21 jest rezultatem 7 razy po 3. Siedm dlatego, że Kopernik odziedziczył 7 planet po Ptolemeuszu (włączając słońce i księżyc, które były uważane za planety przed Kopernikiem). A dlatego trzy, że nas miało być w domu tylko troje — bo córka poszła do "college". (2) Drugi powód był ten, że tak akurat wypadło — i więcej miejsca ani na papierze ani w ogrodzie nie było.

Największy problem to ten, że prawie każdą jarzynę trzeba w innym czasie siać lub sadzić. Wiele z nich wymaga różnych warunków glebowo-klimatycznych i prawie każda podlega różnym chorobom i szkodnikom (owadom), które trzeba w odrębny i najbardziej właściwy i skuteczny sposób tępić. Nie będę tu wymieniał tych chorób roślinnych, ani opisywał tych kilkunastu czy kilkudziesięciu różnych gąsienic, robaków, chrząszczyków i chrząszczyków (po angielsku "pests and insects" jak np. **onion maggot, carrot maggot, cabbage maggot, cut worm, thrip, cabbage worm**, różnego rodzaju **plant lice** względnie **aphids, corn ear worm i European corn borer, Mexican bean beetle, carrot rust fly, tomato horn worm, potato beetle, leafhopper, Japanese beetles, cucumber beetle etc.** Wystarczy powiedzieć, że jeszcze wczesną wiosną zakupiłem wszelkie możliwe "lekarstwa" na różne choroby i szkodniki, odpowiedni rozpryskiwacz — "sprayer" — oraz zamianowałem się przewodniczącym komitetu przyjęć. Skoro tylko jakaś jarzyna zesza i listki się pojawiły, opryskiwałem je zawczasu odpowiednim płynem — przygotowanym według podanych formułek — nie czekając nawet na ukazanie się szkodników. Ze szczególną troską i frekwencją opryskiwałem słodką kukurydzę. A to dla trzech powodów: (1) kukurydza (sweet corn) jest **conditio sine qua non** w każdym amerykańskim ogrodzie zwycięstwa — tak jak pomidory; (2) obojętnie jestem nałogowym amato-

rem słodkiej kukurydzy; (3) nie chciałem dopuścić do katastrofalnego stanu z poprzedniego roku, kiedy "codn ear worms" kompletnie zniszczyły cały mój domobek kukurydzany. Wziąłem to sobie za punkt honoru i za wszelką cenę postanowiłem mieć w tym roku słodką kukurydzę — i to najbardziej szlachetnych dwóch gatunków, włączając oczywiście "golden bantam".

A rezultat? Względnie rzecz biorąc, szczególnie w porównaniu z rokiem poprzednim, sukces na sto procent. Ale tylko "względnie rzecz biorąc". Cały ten interes ogrodu zwycięstwa wygląda lepiej w teorii niż w rzeczywistości, lepiej na papierze niż w ogrodzie. Na 21 różnych jarzyn posadzonych w formie rosady i posianych nasion — nasiona seleru, pietruszki i pieprzu ("sweet pepper") wcale nie zeszyły. Nie wiem nawet dlaczego i to mnie właśnie niepokoi... Co do pietruszki, to dzięki Bogu, bo tej trawy wcale nie lubię. Mam jej zresztą dosyć o każdej porze roku w "Ognisku". Co do selerów i pieprzu, posadziłem później rosadę i ta urosła do rekordowych rozmiarów. A co najfatalniejsze, nie zeszyły również nasiona jarzyny czy owocu t. z. po angielsku "egg plant". Po polsku to się prawdopodobnie nazywa oberzynka. Na torebce podane były nazwy aż w pięciu językach: po ang. "egg plant", włosku "melanzana", po niemiecku "Eierpflanze", po francusku "aubergine", a po polsku (na serio) **gruszka miłosna**. A odmiana tej dziwacznej jarzyny: "Black Beauty" — czarna piękność. Innemi słowy, brunetka. Well, brunetka zawiodła. Z tą "black beauty" to będzie chyba jeszcze kłopot. Z sześciu sztuk następnie posadzonej rosady tylko cztery urosły. I jeszcze rosną i kwitną. W chwili pisania tych słów (15go sierpnia), kiedy nasi sąsiedzi już zjadają swą oberzynkę, moja jeszcze rośnie i kwitnie. A owoców ani znaku.

Prawie wszystkie choroby i owady przewidziane i opisane "w literaturze przedmiotu", ten mój ogródek zwycięstwa w przepisanych i nieprzepisanych terminach czasu odwiedziły i nawiedziły. Zacięta walka była toczona z nimi od początku i dalej będzie prowadzona — aż do zwycięstwa (ich lub mojego). Z tym co było przewidziane, to pół biedy. Zwycięstwo przechyla się jednak na moją korzyść — mimo posuchy. Gorzej jest ze szkodnikami, na które nawet spece nie mają rady. A tymi są (prócz zjadających, które w tym roku wyjątkowo mało szkody wyrządziły): ptaki, psy dobrych sąsiadów i wiewiórki. Z ptakami musiałem się podzielić groszkiem na "fifty-fifty" — na jeden strzączek dla mnie ptaki zjadły przy-

najmniej cztery. Psy dobrych sąsiadów, z którymi nie należy się awanturować, w ogrodzie nieogrodzonym, to szkodniki pierwszej klasy. Nic nie zjadają, tylko łamią, szczególnie rosadę i młode lodygi jarzyn. Wyobraź sobie czytelniku tylko jeden taki incydencik. Sadzę 18 sztuk rosedy, seleri — tak delikatnie i skrupulatnie według przepisów, w rowku na cztery cale głębokim by w miarę jak rosną możnaby je ziemią obłożyć. Piękna grządka. Na drugi dzień rano budzę się przy hałasie czterech czy pięciu psów goniących się nawzajem po moim ogrodzie zwycięstwa... Po 10 minutach idę do ogrodu. Psów już nie ma. Pogoniły się nawzajem do innego ogrodu. Patrzą się na rezultat zabawy tego psiego odzaju. Dwanaście sztuk młodej kukurydzy leży na ziemi, tyleż sztuk rosady, kapusty, kalafiorów i brukselki. A tej całej pięknej grządki selerów wogóle nie widać. Czołgając się na kolanach, delikatnie ogrzebuje każdą sztukę rosady. Okazuje się, że co trzecia złamana. Po paru godzinach cierplivej roboty jest tylko dwie trzecie tego, co dawniej było. Po kilku dniach ten cały psi "trick" znowu się powtarza.

Jeszcze gorszymi szkodnikami są wiewiórki, jeśli ogród jest blisko lasu lub w pobliżu większej ilości drzew, szczególnie dębowych. Pamiętasz czytelniku mój sentyment do słodkiej kukurydzy ("sweet corn")? Well, tej kukurydzy wcale nie kosztowałem. A miałem jej z górą 100 krzaków. — Piękna to była kukurydza na dobre dwa metry wysokości. Była nieraz przedmiotem pochwalnych uwag — a może i utajonej zazdrości wielu sąsiadów. Mieć taką kukurydzę w ogrodzie zwycięstwa (wobec zeszłorocznego niepowodzenia), i to w sezonie takiej posuchy jak w tym roku, to wyczyn — być może — i pochwały godny. Z dumą obiecywałem sąsiadom, którzy mieli mniej, że się z nimi podzielę. Zaczęła wrzeszcze kwitnąć. Ptaki zaczęły dziubać kwiat i wierzchołki łamać. Myślałem, że kłeska, ale nic złego. Każdy krzak miał po kilkanaście sztuk ("ears of corn") kukurydzy. Pierwsza partja, wcześniej osadzona miała dojrzeć około 19go lipca — w każdym razie na następny week-end. Z dumą tę kukurydzę oglądałem. Dzięki starannemu opryskiwaniu — czy tylko przypadkowi — żadnego robactwa nie było. Kukurydza jak złoto. Ziarnka już zaczęły się robić żółte. Za parę dni, najwyżej za trzy dni, miał być pierwszy zbiór. Powiedziałem nawet paru sąsiadom, że im dam skosztować. Niech kto mówi jak chce, ale niema to jak świeża, słodka kukurydza, prosto z ogrodu, ugotowana (tylko 8 minut na wrzącej wodzie) w przeciągu pół godziny po zerwaniu —

nim się cukier w krochmal zamieni. Może zbyt głośno mówię, bo się dowiedziały o tym wiewiórki — wszystkie wiewiórki w obrębie paru kilometrów. W parę dni przed tą weekendową uczną wszystka dojrzewająca kukurydza znalazła się na dachach garażów i na drzewach. I tak co parę dni, jak nowa dojrzewała (nim kompletnie dojrzała do użytku kuchennego) wiewiórki ją zrywały. Wreszcie przeprosiłem je i cały zasiew kukurydzy wydarłem z korzeniami — sadząc w tym miejscu ziarna późnej fasoli.

Pogniewały się widocznie wiewiórki, bo zaczęły następnie zrywać i zjadać dojrzewające pomidory. Nikt tu nie pamięta by wiewiórki pomidory jadły. A w tym roku jedzą. Żona ma racjonalną teorię. Widocznie brak wilgoci w ich normalnej djecie zmusza je do tego kryminalnego postępowania. Magazyny nasion nie mają jeszcze wdocznie odpowiedniego antidotum na wiewiórki. W jednym miejscu poradzono mi używać proszek o wstrętnej woni pod nazwą "Pestex" (co można przetłumaczyć: szkodnik precz.) Kupiłem tego proszku dwa funty za \$1.30 i posypałem znaczną część naokoło pomidorów. Woń była naprawdę odstręczająca, ale to wszystko tyle pomogło jak napis strategicznie umieszczony: szkodniki precz.

Na kontrolowanie agresji wiewiórek do pomidorów przyszły mi na myśl trzy sposoby:

(1) Dobra "dubeltówka" i dobry przepis na jakiś bigos wiewiórczy.

(2) Obliczyć maksymalną konsumpcję pomidorów na przypuszczalną ilość wiewiórek i przy sadzeniu rosady pomidorów wziąć ten czynnik pod uwagę. Innymi słowy mieć tyle pomidorów, by było dość dla siebie i dla wiewiórek.

(3) W pobliżu ogrodu z dojrzewającymi pomidorami wystawić codziennie dla wiewiórek coś więcej atrakcyjnego do jedzenia — np. nadsute dojrzałe pomidory i t. p.

Mój problem wiewiórczy jest w trakcie rozwiązania przy pomocy tych dwóch ostatnich metod. W chwili pisania tych słów, pomidory dojrzewają szybciej niż te całe lokalne zgromadzenie wiewiórcze może skonsumować.

Ktoś się zapyta: A czy się taki ogród zwycięstwa kalkuluje? Odpowiedź: to zależy jak kto "kalkuluje". Moja kalkulacja daje wyniki raczej pozytywnie. Koszt nasion, narzędzi, nawozu sztucznego i różnych lekarstw na owady, szkodniki i choroby roślinne — około \$20.000. Wartość zebranych już i oczekiwanych w dalszym ciągu jarzyn — około \$50.00. A więc zarobek na czysto \$30.00. A gdzie praca?

Praca nad ulepszeniem terenu, w formie inwestycji, 200 godzin w sezonie. Ale to się nie liczy. Praca w samym ogrodzie zwycięstwa od kwietnia do października włącznie mniej więcej 300 godzin. \$30.00 wartości produktów w formie czystego dochodu za 300 godzin pracy — po 10 centów za godzinę — to się niby na pierwszy rzut oka i na zdrowy rozum nie kalkuluje. ale tu wchodzi cały szereg czynników kalkulacyjnych w rachubę, których zwyczajny śmiertelnik wielkomięski nie zrozumie. — Wymienię tylko niektóre z nich:

(1) Sam koszt nasion, narzędzi itd. w sumie \$20.00 wynosi tyle jak np. jedna kolejka "cocktailów" w dużym towarzystwie, przy czym głowa nikogo nie zaboli. A jak ktoś w ogrodzie zwycięstwa pracuje to na "cock tail" nie chodzi i tak nieraz doznaje bólu głowy. Nietylko to. Ja przez kilka ty-

dża na wakacje. W Polsce przedwojennej przemęczeni urzędnicy zwykli byli mówić, że wyjeżdżają na kurację. Tam wyjeżdżano (kto nie miał waluty zagranicznej) w góry lub nad morze. Tutaj normalnie: w zimie na Florydę a w lecie nad morze. Znałem swego czasu niższej rangi urzędnika Konsulatu Polskiego w New Yorku, który nawet w lecie wyjechał na Florydę — a po dwóch tygodniach powrócił poprzszycony, popuchnięty i chory. Musiał się potem przez kilka miesięcy literalnie kurować po "kuracji". Zapytany dlaczego w lecie pojechał na Florydę, odpowiedział szczerze i logicznie: dlatego w lecie, bo mu w lecie przypadł dwutygodniowy urlop; a dlatego na Florydę, bo jakby się mógł wytłomaczyć przed swymi przyjaciółmi w Polsce, że w Ameryce był przez całe dwa lata a na Florydzie na wakacjach nie był.



Prof. Mierzwa walczy o zwycięstwo w swym ogródku.

godni po przekopywaniu ziemi, sadzeniu rosady i sianiu nasion czułem kolki w boku... Takiej przyjemności żaden interes wielkopański mi nie da.

(2) Gdybym grał w golfa przez 300 godzin w sezonie wiosennym, letnim i jesiennym, licząc skromnie po dolarze na godzinę (kalkulacja bardzo skromna) to wydałbym z kieszeni na czysto minimum \$300.00. Mając ogród zwycięstwa, nie ma się czasu chodzić na golfa. W każdym razie jest wymówka. Ale naprawdę niema czasu. A więc jasne, jak na dłoni, że za te 300 godzin pracy zarobiłem na czysto nie \$30.00 ale \$330.00. Wprawdzie jest to zarobek teoretyczny (tak jak strata fortuny tego pana, któremu się śniło, że miał miljon a gdy się obudził wrzeszczał, że stracił fortunę), ale musi być wzięty pod uwagę jako czynnik kalkulacyjny.

(3) Wielu ludzi zazwyczaj wyjeżdża

Z tego wszystkiego morał taki. W Ameryce jestem 34 lata i na Florydzie jeszcze nie byłem. A teraz mając ogród zwycięstwa niema czasu, a natomiast ma się prawdziwy "excuse", żeby nigdzie nie wyjeżdżać na wakacje czy na kurację. To też pewna oszczędność na konto tych 300 godzin.

(4) Przy kalkulacji trzeba wziąć jeszcze pod uwagę inną oszczędność. Kto ma ogród zwycięstwa nie traci pieniędzy na pigułki, które mają rzekomo kurować różne dolegliwości jak ból głowy, bezsenność, niestrawność, znudzenie i t. d. Ogród zwycięstwa to prawdziwy panaceum (Słownik Wyrazów Obcych, M. Arcta, określa panaceum jak następuje: "mniemany uniwersalny środek lekarski na wszystkie choroby, cudowny środek na wszelkie dolegliwości").

(5) Znam ludzi, którzy nie mają

sposobności się pobrudzić, a dwa razy dziennie pod prysznic łażą. Będąc człowiekiem "starej daty", tego burżuazyjnego czy kapitalistycznego przesądu nigdy nie mogłem zrozumieć. Natomiast, jeśli się pracuje podczas week-endu w ogrodzie zwycięstwa — zwożąc np. ziemię taczka — gdy w cieniu termometr wskazuje 90 stopni F. gorąca — gdy się jest naprawdę przepocnym i pobrudzonym od stóp do głowy, wizyta pod prysznicem dwa razy dziennie jest rozkoszą jakiej żaden mieszczuch należący do arystokracji białego kołnierzyka nie dozna.

(6) Coś jest warta również przyjemność (po wielu nieprzyjemnościach walki z robactwem i szkodnikami) codziennej wizyty w ogrodzie, od połowy maja do końca października względnie do pierwszych dni mrozu, po młodą cebulkę, świeżą rzodkiewkę, sałatę, groszek, fasolę, buraczki, marchew, brukselkę, pasternak i t. d. Nie w tym sensie, że się coś bierze, co nic nie kosztuje, ale w tym sensie, że człowiek sam coś ukulturował tam, gdzie przedtem nie było. To poczucie wewnętrznego zadowolenia, ten sens zwycięstwa w walce z przyrodą, są warte niejedną kropelkę potu.

(7) Wreszcie coś warte również są dwie lekcje jakich się w tym moim ogrodzie zwycięstwa nauczyłem:

(a) Jeszcze większy respekt dla chłopca polskiego i farmera amerykańskiego nie taki jakiego się nabywa z oglądania niektórych obrazów Jean Francois Millet'a, ale respekt jaki się wykuwa z własnego przeżycia.

(b) Wniosek, dlaczego to się nazywa ogród zwycięstwa, a mianowicie: gdyby te wszystkie choroby i owoady jakie te 20,000,000 amerykańskich ogrodów zwycięstwa w ciągu lata nawiedzają, zaatakowały Hitlera i jego całą nazistowską klikę, odnieśliśmy zwycięstwo bez dania jednego strzału.

Ameryka to cudowny kraj. Kłopot jest tylko ten, że jest bardzo zachwaszczona — i ma dużo różnego rodzaju owadów i szkodników.

KUPUJCIE
NUMER
WARSZAWSKI
"TYGODNIKA
POLSKIEGO"

AN APPEAL TO THE AMERICAN PEOPLE ON THE FIFTH ANNIVERSARY OF THE WAR WARSAW — LEST WE FORGET

Five years have passed since Hitler's hordes crossed the Polish frontiers. We have seen the free nations fall one by one. Now one by one they rise again. Of them all Poland has suffered the longest and suffered the most.

Now, as in those dark days of 1939 the Warsaw radio is back on the air, calling again for resistance to the death against the Nazi enemy. On August 4th it sent this immortal message: "We fear only one thing — running out of ammunition."

That was four weeks ago, but for five long years the Polish people have waited for the promised help which has not yet arrived. Premier Mikołajczyk declared on August 29th that the Poles of Warsaw could continue the fight on 5 tons of supplies a day, yet even that little has not been delivered. If the Warsaw uprising fails, complete extermination will be the lot not only of the fighting men, for it is estimated that 200,000 people of Warsaw have already perished.

On August 23rd the women of Warsaw appealed to Pope Pius XIIth in words which will echo in the hearts of every American — Protestant, Catholic or Jew:

"Holy Father — we Polish women fighting in Warsaw are inspired by deep patriotism and devotion to our country. While we have defended our fortress for three weeks, we lack food and medical supplies. Warsaw is lying in ruins. The Germans are murdering the wounded in hospitals. They drive women and children before them, screening their tanks. There is no exaggeration in the reports of children fighting and destroying German tanks with bottles of gasoline. We mothers see our sons dying for liberty and their country. Our husbands, sons and brothers are not regarded as combatants. Holy Father, no one helps us. The Russian armies which have been standing for three weeks at the gates of Warsaw do not move a step forward. The help which came from Britain is insufficient. The world ignores our fight. Only God is with us. Holy Father — Vicar of Christ — help us if you can hear us, Polish women fighting for the Church and liberty."

The Pope cannot give Warsaw Human aid—that is the task of Poland's Allies.

WE APPEAL TO ALL AMERICAN PEOPLE TO RAISE THEIR VOICES IN DEFENSE OF HEROIC WARSAW.

WE CALL ON OUR GOVERNMENT TO INCREASE THE AID FLOWN TO WARSAW AND TO INTERVENE WITH THE INTERNATIONAL RED CROSS TO SAVE WARSAW'S MILLION OF WOMEN AND CHILDREN FROM GERMAN EXTERMINATION.

On the fifth anniversary of the war let America say to the hard-pressed people of Warsaw:

"YOU ARE NOT ALONE AND YOU WILL NEVER BE FORGOTTEN."

Let us say to our Russian Allies:

"WE WHO HAVE SENT AID TO RUSSIA HALF-WAY AROUND THE WORLD AT GREAT COST, ASK YOU NOW TO SUPPLY WARSAW WHICH IS SO CLOSE AT HAND."

If Russia will not do this herself, at least she cannot refuse to let Britain and America fulfill their obligations to our Ally, Poland.

We were shocked to hear from the prominent British liberal, Member of Parliament, Vernon Bartlett, who wrote in The London News Chronicle, August 29th:

"A situation has arisen over the Poles in Warsaw that may have even graver consequences than the massacre of several thousand Polish patriots. The British and Americans have recently made urgent requests that the air shuttle service between Italy and Russia, which has enabled them to give such valuable and timely aid to the Soviet armies, should be developed so that they could send supplies to Warsaw. Their requests have been refused in Moscow."

For the sake of justice and for the sake of the unity between the United Nations on which peace depends, we call on Russia to change her policy.

COORDINATING COMMITTEE OF
AMERICAN POLISH ASSOCIATIONS IN THE EAST

103 PARK AVENUE, NEW YORK, N. Y.

Acting Chairman, Joseph Kaszubowski,
Buffalo, N. Y.
Rev. Dr. Andrew W. Lekarczyk,
Webster, Mass. President of the
Union of the Polish Roman Catholic
Priests in the Springfield Diocese.

Executive Secretary, Rev. Alfons A.
Skoniecki, Turners Falls, Mass.

Rt. Rev. Bolesław Bojanowski, Worcester
Mass. Vice-Chairman of the
Board of Trustees.

SCRUTATOR

Sprawy polskie w książkach angielskich

UCIECZKA HENRYKA
WALEZJUSZA

W świetnej monografii Ronsarda, Lewis — w związku z opisem stosunków na dworze andegawenskim — poświęca kilka stron awanturze polskiej Henryka Walezjusza. Wybór Henryka na króla Polski uważa autor za dalszy objaw eksperymentowania w ulubionym przez Polaków systemie rządzenia, który z dzisiejszego punktu widzenia jest bezsprzecznie "demokracją z natchnienia". Śmierć Zygmunta Augusta, ostatniego z dynastji jagiellońskiej, która zapewniła Polsce złoty wiek rządów liberalnych (przy czym słowo "liberalny" — oznacza Wyndham Lewis — należy brać w jego szlachetniejszym sensie), umożliwiła Polsce, do tego czasu rzeczypospolitej pod rządami królów dziedzicznych, przejście do ustroju, opartego na królach elekcyjnych. — *Facta conventa* z Henrykiem Walezjuszem są interesujące. Król musiał m. in. zaprzysiądz, że nie wypowie wojny bez zgody sejmowi i że będzie wierny zasadom tolerancji religijnej, dzięki której Polska, naród przedtem jak obecnie, najgorliwiej katolick, zastąpiła jako azylum heretyków, "Asylum Hereticorum", gdy otworzyła granice dla wygnanych przedstawicieli wszystkich sekt i zapewniła im całkowitą wolność, podobnie jak Żydom. *Pacta conventa*, które nie bardzo harmonizowały z pojęciem królewskości, nie musiały iść w smak kapryśnemu egoiście, jakim był Henryk Walezjusz. Zgodził się na nie zapewne nie bez wahań i protestów, pod naciskiem swojej despotycznej matki Katarzyny Medicis, odrzucając tylko klauzulę o małżeństwie ze starszą od niego o lat dwadzieścia siostrą Zygmunta Augusta.

Tak więc — ciągnie Wyndham Lewis — z niechęcią udawał się Henryk Walezjusz na najbardziej zakazane pustkowia. Ale wbrew opinii poety francuskiego Philippe Desportes, Walezjuszowego kompana i wesołka, który towarzyszył mu w podróży po koronę, nie było to znowu takie pustkowia. Odrodzenie ogarnęło Polskę, Kraków rozwijał się architektonicznie i umysłowo. Kopernik zrewolucjonizował astronomję, nowinki kwitły (mimo że uniwersytet krakowski, jeden z najstarszych w Europie, podobnie zresztą jak Sorbona, przez pewien czas się im przeciwstawił), a poeci, jak Krzycki, Janicki, Dantyszek, nade wszystko zaś Kochanowski, nie dali się nikomu w Europie

prześcignąć w znajomości łaciny. Kochanowski, nazywany konsardem Polski i jeden z najgorętszych entuzjastów Ronsarda, musiał się przygotować wymuskanemu Desportes'owi, z małą sympatją. Wkrótce nadarzyła się okazja do przetrzepania go po pałacach, ku ucieście Europy.

Rzecz prosta, że ani Kraków ani Warszawa nie zastugiwały w owych czasach na przewisko drugiego raryżu i nie mogły przypaść do gustu rozpieszczonym francuskim dandy-som. Owczesna Polska — biota, lasy, zaniebane drogi, nędzne wsie i miasta, na pot barbarzyński wygiąd entopow, Zyzi, kolekcja heretyków (assorted neretics) musiała przyprawić Francuzów o dreszcze. Desportes — można niemal styszczyć jego protesty, wydziewiania i wykrzywiania się, "niczym matpy na wietrze wschodnim" zapewne wcześniej zaczął lżyć Polaków jako nędzarzy, barbarzyńców, pyszaków i pleciugi. Narazie — z rozkazu króla — milczał, notował i przetwarzał swoje wrażenia na wytworne sonety satyryczne.

Także entuzjazm Polaków zmniejszył się po przybyciu króla. Pobieżliwa uprzejmość Henryka i jego swity, próba zaszczerpienia na Wawelu soamskich obyczajów (Wyndham Lewis poprzednio już zaznacza, że obecność ambasadorów Sodomy i Gomory oraz ministra pełnomocnego Lesbos na francuskim dworze Henryka III nie mogłoby się wydać rzeczą dziwną), demonstracyjnie objawiane przez nowego monarchę znużenie wielogodzinnymi obradami — wszystko to w krótkim czasie przekonało Polaków, że z "europejskiej talji nie najlepszą wyciągnięto kartę.

Autor daje z kolei malowniczy opis ucieczki Walezjusza na wieś o śmierci Karola IX; cytuje wiersz desportes'a "Adieu, Pologne..." i tak kończy: "Najbardziej obelżywy, nieszlachetny exit, niegodny Walezjusza i napewno nie charakterystyczny dla Henrka Andegawęczka, któremu nie brakło ani wdzięku ani wychowania. Śluszny gniew i wzgardę Polaków ukazał umiejętnie światu Jan Kochanowski, który pozostał łatwym zwyczajem w wynikłym ślad pojedynku poetyckim z Desportes'em; do satyrycznej "De Electione, coronazione ta Fuga Galli" ("O elekcji, koronacji i ucieczce Francuza") niewiele dałoby się dodać. W najbliższym roku mądrzejszy sejm obrał królem Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego,

który rzucił Iwana Groźnego na kolana i byłby zdruzgotął Moskwicina o kamiennym sercu, gdyby nie interwencja papieża. Nieco później Polska, stała przedmurze chrześcijaństwa, uratowała Europę, pod Sobieskim, przed Turkami; w trzysta lat później, pod Piłsudskim, przed bolszewikami. Stabat et stabit".

NAPOLEON A ODBUDOWA POLSKI

Znany historyk angielski, autor licznych studiów z zakresu dyplomacji, G. P. Gooch, w tomie *essayów "Courts and Cabinets"* poświęca dwa rozdziały omówieniu pamiętników Caulaincourta, których ogłoszenie w r. 1933 uznaje za ostatnie wybitne zdarzenie w dziedzinie badań nad epoką napoleońską. W rozdziale "Caulaincourt, Napoleon and Alexander" Gooch przytacza fragmenty rozmowy Napoleona z Caulaincourtem na wiosnę r. 1811, po jego powrocie z Petersburga, po czteroletnim ambasadorowaniu przy dworze tamtejszym. Caulaincourt nakłania cesarza do usunięcia wojsk z Prus i z Gdańska, gdyż Rosja czuje się nimi zagrożona, dodając, że oczywiście jeśli cesarz zamierza odbudować Polskę — co pozostawałoby w sprzeczności z sojuszem z Rosją — uwagi jego są zbyt techniczne. Napoleon odpowiada, że nie zamierza odbudować Polski, i w kilka chwil potem zapewnienie to jeszcze raz powtarza. Jeśli tak, — odpowiada Caulaincourt, — niezrozumiałe jest, dlaczego cesarz chce narażać sojusz z Rosją i dlaczego wojska francuskie mają pozostawać w Prusach i w Gdańsku. Po przegranej kampanji rosyjskiej, w czasie powrotu przez Księstwo Warszawskie Napoleon wyraża przekonanie, że nie wszystko stracone: jeśli Polacy chcą na nowo być narodem, zdobędą się na powstanie "en masse", a oni ich uzbroją, jeżeli nie zechcą, można będzie przestać się z nimi liczyć a porozumienie z Rosją nie będzie przedstawiało trudności. Raz jeszcze temat Polski wraca w rozmowie z Caulaincourtem: Napoleon jest zdania, że z Polakami postępowało w sposób niewłaściwy.

*Courts and Cabinets by G. P. Gooch, D. Litt., F. B. A., Author of "History of Modern Europe, 1878-1919". "Studies in Diplomacy and Statecraft", etc. Londyn, Longmans, Green, 1944; str. 323 i 1n1.

OPINJE I ZDARZENIA



*Tomasz Arciszewski, desygnowany następcą Prezydenta R. P.
(ostatnia fotografia, robiona w Londynie)*

ZYGMUNT HEMPEL ZGINĄŁ NA BARYKADACH WARSZAWY

Dnia 6 sierpnia padł na barykadach Warszawy, zastępca szefa sztabu Armji Podziemnej — jeden z najczystszych, najświetniejszych dowódców Polski Podziemnej — Zygmunt Hempel. Poległy bohater był politycznym mózgiem Obozu Polski Walczącej, opartego o ideologję Józefa Piłsudskiego, odegrał też naczelną rolę w pracach tego obozu, doznając od swych towarzyszy posłuchu i miłości, a szacunku nawet od krańcowo inaczej myślących przeciwników. Tego szacunku dowodem było m. in. wspomnienie pośmiertne o Zygmuncie Hemple pomieszczone w londyńskim "Dzienniku Polskim", pióra por. Pomiana, oficera Armji Podziemnej, niedawno przybyłego do Londynu.

BULITT O POLSCE

W ostatnim numerze "Life" ambasador Bulitt w reportażu z Rzymu kreśli bez obłonek obraz przyszłości Europy, wyłaniający się z poza polityki rosyjskiej względem Polski, obraz jaknajbardziej pesymistyczny, coć my własnie Polacy wiemy, bynajmniej nie przejęskrawiony i właśnie w bardzo naturalnych kolorach.

Ambasador Bulitt w czasie swej długoletniej, świetnej kariery dyplomatycznej w Europie, nabył tego "poczucia Europy" którego brak jest jakże wielu amerykańskim mężom stanu, poznał on zarówno Zachód z Paryża jak i Wschód z Moskwy — ma też wszelkie dane aby docierać do jaknajlepszych źródeł informacji o Europie i właściwie z tych informacji wnioskować. Jego ostatni repor-

taż jest prawdziwym otwarciem okna na Europę, jest pokazaniem nam Europy, która nie przypatruje się bynajmniej biernie temu co się dzieje, ale mimo zniszczenia i cierpienia czuje, myśli, widzi grożące jej niebezpieczeństwa, chce ich uniknąć i szukać dróg przyszłości. Sprawa polska, widziana z Rzymu, gdzie ambasador Bulitt zdobył o niej wiadomości bardzo prawdziwe i szczegółowe — ukazuje się jako istotny sprawdzian zwycięstwa, jako kapitaolne zagadnienia o znaczeniu nietylko dla Wschodu Europy ale dla całej Europy i całej naszej kultury. Zarówno sama osoba ambasadora Bulitta, jak też sytuacja i rozpowszechnienie pisma, w którym swe reportaże drukuje — sprawiają, że głos jego o Polsce — ma znaczenie niezwykle dla pouczenia Ameryki, że los Warszawy, los rządu polskiego, los armji polskiej, nie są to jakieś dalekie sprawy z drugiej części świata, ale elementy wielkiej rozgrywki światowej, w której chodzi też o przyszłość Ameryki i jej kultury.

BARDZO SŁUSZNA UWAGA

Dr. Feliks Gross, znany polski działacz socjalistyczny, redaktor "New Europe" i sekretarz organizacji zajmującej się Federacją Środkowej i Wschodniej Europy — napisał parę dni temu list do redakcji "N. Y. Times", wyrażając zdziwienie, że mimo wysuniętego i nigdy nieodwołanego hasła Narodów Zjednoczonych, tylko trzy z nich, jak dotychczas, obradują oficjalnie i decydują o przyszłości powojennego świata. W liście swym bardzo politycznie napisanym i bardzo przekonującym — stwierdza Dr. Gross, że Rumunja, która przez cztery lata walczyła przy boku Niemiec — ma obecnie sytuację lepszą, niż Polska, pierwszy z Narodów Zjednoczonych i że Król Michał dobrowolnie czy niedobrowolnie ale przecież protektor Żelaznej Gwardji traktowany jest lepiej niż premier Polski. Bardzo słuszną obserwacją, która powinna stać się sloganem uświadamiającym świat o dziejącej się Polsce, a urągającej wszystkim zasadom Narodów Zjednoczonych — niesprawiedliwości.

DEKORACJA NOWEGO JORKU 1 WRZEŚNIA

Dekoracja Nowego Jorku flagami polskimi, zarządzona przez gubernatora Deweya na dzień 1go września — nie pozostała tym razem jak to nieraz bywało — jedynie pięknym ale niewykonanym zaleceniem. Na wszystkich niemal domach Piątej Avenue

zawisły obok amerykańskich i nasze białoczerwone chorągwie, wszystkie niemal ważniejsze magazyny wystaw w oknach afisze polskie, niektóre zaś jak np. Bonwitt-Teller całe okna udekorowały polskimi plakatami. Ta skwapliwość, z jaką w tym właśnie roku niesentymentalna Piąta Avenue odpowiedziała na wezwanie gubernatora — zarówno jak wszystko co w tych dniach (jakże obszernie i serdecznie) drukowano w prasie nowojorskiej o Polsce — świadczy o tem, co z wielu stron się potwierdza, że opinia amerykańska została poruszona do głębi obroną Warszawy — rozumiała wiele z tego, co było dla niej niejasne i wydawało się tylko polską propagandą. Mówiliśmy to zawsze i dziś także powtarzamy. Prawda o Polsce jest tak czysta, że jeśli nie będziemy jej kryli, jeśli będziemy ją głosić — musi mimo naszych wrogów — znaleźć dostęp do sumień i umysłów. Iszy września w Nowym Jorku był bynajmniej nie tak błahym jakbyż na myśleć — tego dowodem.

NOWA KSIĄŻKA O POLSCE

Wysłała nakładem firmy Longman Green, książka Dorothy Adams pt. "We stood alone", będąca bardzo obszernym, barwnym i z wielką przyjaźnią dla Polski kreślonym obrazem życia polskiego przed wojną. Autorka była żoną tragicznie zmarłego dyplomaty i badacza Jana Kostaneckiego, synową zaś prezesa Akademii Krakowskiej prof. Kazimierza Kostaneckiego, zamęczonego przez Niemców w Oświęcimiu. Znała dobrze Polskę i znała dobre strony Polski i Polaków, uchodzące nieraz uwadze powierzchownych, obojętnych obserwatorów. Jak świadczą dotychczas zauważone przez nas recenzje, nowa książka o naszym kraju będzie dobrze i życzliwie przyjęta.

MEDYCYNA KONSPIRACYJNA

Mury więzienne nie są tak nieprzeniknione jakby się zdawało. Ci, którzy muszą wiedzieć — wiedzą zawsze co się dzieje za kratami, za stalowymi drzwiami, za lufami niemieckiej straży.

W końcu marca 1943 z katowni lwowskiej "na Łąckiego" przeniknęła gdzie należało wiadomość o przesłaniu z Gestapo nowej listy więźniów przeznaczonych na śmierć, w liczbie 18. Wśród skazanych znajdowało się nazwisko żołnierza dobrze zasłużonego, którego strata byłaby dotkliwym ciosem dla Sprawy, a który od roku blisko więziony i katowany, dzielnym uporem i niezłomnym milezieniem przewlekał śledztwo policyjne aż do ostateczności.

Maltretowany, bezlitośnie bity, przyprawiony o utratę słuchu w jed-



Dzieci warszawskie płaczące na miejscu stracenia ich rodziców — w Alejach Jerozolimskich, w styczniu 1944

nym uchu, o złamanie żeber i uszkodzenie nerki, potrafił on nietylko zataić wszystko co wiedział, ale i pogmatwał oparte na niezbitych dowodach śledztwo do tego stopnia, że policja musiała dać za wygraną i długotrwałą "pracę" podsumować bezsilnie wściekłym wyrokiem śmierci.

Ten żołnierz musiał być ocalony.

Pozostawało bardzo niewiele czasu. W normalnym trybie w ciągu paru tygodni po wywiezieniu skazańca do Majdanka lub Oświęcimia, nadchodzi zawiadomienie o zgonie. Naturalnie nie o rozstrzelaniu, zagazowaniu, zatłuczeniu pałkami czy śmiertelnym strzyku w miesiąc sercowy; poprostu o zgonie na skutek niedomogi serca. Trzeba było szybko działać.

Już nazajutrz więzień leżał w gorączce, niezdolny do chodzenia. Dwa bolesne zastrzyki zrobiły swoje. Ko-

misja lekarska wydała skierowanie do szpitala więziennego na oddział zakaznie chorych, a do innych więźniów postanowiła zastosować ostrożnie kwarantannowe. 1-go kwietnia o godzinie 6ej onory był już w szpitalu, a nawet z całą dokładnością stracił przytomność. Przez 2 tygodnie odtąd "walczył ze śmiercią".

Właściwie nie on walczył. Do niego należało opanować nerwy, zachować zimną krew i czekać. Resztę zrobią wierni koledzy, ci co pracują na wolności.

Dwa tygodnie oczekiwania. Nadzieja i zwątpienie piszą łamany wyraz tętna, obawa "kompliakcji" wisi nad głową pacjenta nieustannie. Żadne zabiegi nie są jednak potrzebne, by chorego szybko postawić na nogi. Z za krat szpitala przychodzą tajemne recepty, przywracające mu siły cudownym sposobem.

Pierwsza: "Wiemy, wkrótce" nosi podpisy dwu "lekarzy", którym chory może ufać i wierzyć. Dalsze zawierają już precyzyjne zalecenia i ki zanim przyjdzie czas na operację.

Konsyljum w liczbie 14 "łapiduchów" zbiera się ostatecznie 15go kwietnia w godzinach wieczornych. W szpitalu więziennym odbywa się właśnie zmiana dyżurów, personel lekarski i pielęgniarki w komplecie, warta niemiecka na stanowisku.

Czterech "konsyljarzy" zostaje przed wejściem, dziesięciu z instrumentami wiele strzałowymi w garści opanowuje gmach szpitala.

W POPRZEDNIM 35 (87) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: *Biblia Polska; ARP: Monte Cassino to nie Samosierra; Stanisław Stroński: Sedno sprawy; Janusz Wedow: Polski uśmiech; Józef Miłobędzki: Do Orła Białego; Stanisław Strzelski: The essence of the Polish-Russian Problem; Stefan P. Mierzwa: Mój ogród zwycięstwa; Zofia Bohdanowiczowa: Drzewa ojczyście; Opinie i zdarzenia.*

Stenoryzowany portjer nie ma możliwości alarmowania. Niemcy w wartowni na 11 piętrze niczego się nie spoziewają.

Na widok wkraczającego oficera S. D. stają na baczność. Nomenklatura warty jest na miejscu. Jego podkomendani bieżą się wspomnieć nad wręczonym im pismem do "Stadnaupmann". Jest ono tak zredagowane, że wygląda na rebus lingwistyczny. Podczas gdy trwa rozwiązywanie tego rebusa, zamki karabinów warty zostają wyjęte, a każdy z wartowników, których jest 4ch, ma za sobą wymierzony w plecy pistolet.

W chwilę potem hall II piętra wygląda jak pobojuwisko. Warta, lekarze, siostry leżą pokotem na podłodze, powiązani sznurami. Siostra przełożona na korytarzu spoczywa obok swej sztucznej szczęki, którą zgubiła z wrażenia. Jeden z wartowników krwawi z rozbitego kolbą łba, drugi głośno skąmie o litość.

Wśród chorych najwyższe napięcie. Słyszą podniesione głosy, rozkazy, tupot. Wstrząśnięci — oczekują wejścia policji. Czegoz mogą czekać "polityczni" w szpitalu więziennym?

Przez uchylone drzwi wkracza jednak potężny mężczyzna, wołając: — "Gdzie jest Leszek?" i wymachując ręką. Ktoś z chorych odpowiada: "W szpitalu nie używa się wcale."

"No, bracie — powiada na widok wezwanego — wolny jesteś! Ubieraj się!" A do chorych: "Chłopcy.. który się ruszy kula w łeb! Milczcie!"

Zjawia się paczka z ubraniami. Leszek ubiera się szybko.

Nikt jeszcze nie rozumie sytuacji. Siostra dyżurna przekonana, że chorego zabiera policja, żąda, aby zdał ważną szpitalną.

"Siostro, na korytarz! Padnij!..." — pada rozkaz.

Leszek jest gotów.

Głosy niedowierzania, obawy, szynu odzieżowego napływają ubrania może ruszyć się z łóżka. Z magazynu odzieżowego napływają ubrania cywilne. Nie minęło pół godziny, gdy szpital zaczął się powoli opróżniać.

Leszka wyprowadzają z honorami. Jest tak osłabiony, że trzeba go prawie wlec. Podobnych pacjentów jest 25.

Na podłodze zostaje w szpitalu czterech konających ze strachu Niemców i 16 osób personelu, wszyscy w pętach. Dopiero po godzinie jeden z lekarzy zdołał zrzucić więzy, a warta po długim namyśle (wiać czy zostać?) zdecydowała się wysłać gońca do Gestapo. Meldunek brzmiał: "Banda bolszewicka, dysponująca samochodami pancernymi, wykradła chorych ze szpitala więziennego".

Wśród wykradzionych był... jeden Reichsdeutsch, skazany na śmierć,

więzień polityczny, którego dwaj bracia zginęli w Dachau.

Wśród wykradających był..pilot angielski, wzięty do niewoli podczas bombardowania Bremy, który po ucieczce bardzo wiele zawdzięczał Leszkowi.

Z 25 zbiegłych więźniów 6 padło na ulicy bez przytomności, (przeliczyli się z siłami), 3 wołało wrocie do więzienia, 16 wymknęło się z miasta. Wszyscy — polityczni.

"Medycyna" konspiracyjna nie zawiodła w walce ze śmiercią.

Humor w Polsce Podziemnej SOWIECKIE MOSTY

Do niedawno przerzuconego przez rzekę mostu na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej nadjeżdża ukraiński chłopiec z wozem. Widząc, że most jest świeżej konstrukcji, skręca w bok i przejeżdża rzekę brodem. Kiedy znajduje się na środku rzeki, nadjeżdża drugi chłopiec i wjeżdża na most. Guy znajduje się na moście, ten załamuje się z trzaskiem i chłopiec wpada do rzeki. Widząc to pierwszy zwraca się i mówi:

— Co za ludzie! Widzi, że most i jedzie.

DUŻE I MAŁE DŁUGI

Hitler, przejeżdżając na front wschodni, wyskoczył na jednej ze stacyjek. Służba nie wiedząc o tym, puściła pociąg. Hitler pozostał sam, ubrany po cywilnemu, bez dokumentów i pieniędzy, w kraju do którego nigdy nie miał zaufania. Pierwszą spotkaną osobą jest Żyd, który zobaczywszy go, kłania się uprzejmie:

— Dzień dobry, panie Hitler.

— Jak tyś mnie poznał?

— Aj waj, ktoby takie wielkie osobie nie poznał.

— Słuchaj żydzie, jestem w trudnej sytuacji. Pożycz 500 złotych.

— Co jest? Dlaczego nie?

Hitler zdziwiony pyta:

— Taki jesteś grzeczny, a skąd ty wiesz, czy ja ci te pieniądze oddam?

— Aj waj. Pan kanclerz całą Europę zwrócisz, a głupich pięciuset złotych byś nie oddał?.

PIĘCIO PROCENTOWA REWOLUCJA

W niebo spotyka się zmarły Stalin ze zgromadzonymi tam carami, którzy mu robią wyrzuty:

— No cóż, ja otworzyłem okna na Europę — mówi Piotr — a tyś je zamknął.

— Ja wprowadziłem swoje wojska do Paryża — mówi Aleksander I — a tyś je zgrupował nad Wołgą.

— Ja uwolniłem chłopów — mówi Aleksander II — a tyś ich znowu przywiązał do ziemi.

— Wódka — mówi Stalin — wód-

ka miała dawniej 45 proc. a dziś ma 40 proc.

— Ja nie wiem mówi Mikołaj II czy dla tych pięciu procentów opłaciło się robić rewolucję.

MAGAZYNY SOWIECKIE

Chwalono się, że Promtorg, dziesięciopiętrowy dom towarowy w Moskwie, gdzie można było wszystko dostać obsługiwany jest tylko przez jednego stachanowca. Stachanowiec ten stoi w drzwiach i odpowiada tłumnie przybywającym klientom:

— Niczewo niet.

Helena Rubinstein

PUDRY DO TWARZY



Indywidualne mieszanki dla suchej, normalnej i tłustej cery w sześciu pięknych odcieniach

RACHEL

PEACHBLOOM

MAURESQUE

CHAMPAGNE BISQUE

SUN TAN

ROAL TAN

Od \$1.00 do \$7.50

(plus podatek)